

Gondowicz, pierwsze podejście

Michał Larek

I

Piątek, 11 października 2013 roku. Jestem na konferencji kryminalnej, którą zorganizowała wrocławska polonistyka w ramach Międzynarodowego Festiwalu Kryminalnego. Właśnie skończyłem wygłaszać referat. Wracam na miejsce. Za chwilę głos zabierze Jan Gondowicz. Pierwszy raz widzę go na żywo, więc jestem tym bardziej ciekaw. Zerkam do programu, żeby zobaczyć, o czym będzie traktował jego tekst. On tymczasem siada za stołem. Gdy zaczyna czytać, wszyscy milkną, żeby dokładnie wsłuchać się w świetną opowieść o *Przygodach księdza Browna* Chestertona; tak, to nie nudny, akademicki elaborat, ale zabawna narracja o własnej lekturze. „Dlaczego ja jeszcze nie znam tych kawałków?” – ganię samego siebie, śmiejąc się z co bardziej soczystych cytatów.

II

Stawiam kropkę i sięgam po książkę.

Kartkuję.

Przygody księdza Browna, Gilbert Keith Chesterton, przekł. Tadeusz J. Dehnel, Instytut Wydawniczy PAX, 1958 rok.

Wczoraj czytałem do poduszki.

Znakomite.

III

Po tak zwanych obradach spotykamy się w drzwiach. Ucinamy sobie pogawędkę o kulturze popularnej w PRL-u. To woda na młyn Gondowicza. Facet jest urodzonym narratorem. „Napiszę do pana, może coś razem wymyślimy” – rzucam na odchodne.

IV

Jurek Borowczyk podchwytuje pomysł, żeby zrobić rozmowę z Gondowiczem i zamówić u niego tekst, w którym wyjaśniłby swoją strategię pisarską. Zaopatrujemy się w książkę i rozpoczynamy metodyczną lekturę.

V

„Panie Michale miły,
uF, włączyli mi internet. Przepraszam. 26 czerwca będzie w sam raz. Ja zdążę się odprostować po Drohobyczu i Lwowie (jeśli w ogóle ten wyjazd dojdzie do skutku – jest ostrzeżenie MSZ!), a Pan przeczyta w spokoju *Trans-Autentyk*, czyli tę moją książkę o Schulzu. I jeszcze Panu doślę to, co zamierzam opowiedzieć w Drohobyczu. A przedtem, ma się rozumieć, dla «Czasu Kultury» szkic o hauntologii w moim autorskim projekcie, który nazwałem przed laty archeologią wyobraźni.

Pański

Jan Gondowicz”

VI

Na stole leży *Duch opowieści*, moja ulubiona książka tego autora (choć po lekturze *Trans-Autentyku* nie jestem już tego taki pewien).

Na okładce widzę postać. Czarno-białą. To kobieta o nienaturalnie długich włosach, w „powłóczyste” albo „zwiewnej” sukni. Patrzy w bok. Robię zbliżenie. Na twarzy widnieje uśmiech, chyba. Wracam do poprzedniej perspektywy. Jedna ręka opada wzdłuż ciała. Druga jest wysunięta do przodu, jakby coś wskazywała, może kierunek, a może coś ważniejszego. W dłoni dostrzegam roślinę z trzema kwiatami. Kobieta, wycięta z niegdysiejszej konwencji, zbliża się w stronę owej czerni, podchodzi do niej. Dlaczego? Po co? Czy coś tam jest? Później, a właściwie już za moment, dowiem się, że to słynna Anna Csillag, i zaczynę dociekać: co to wszystko znaczy, jak to trzeba rozumieć?

Tymczasem opuszczam wzrok, ale trzymam się prawej strony. Duże, wysokie, cienkie, białe litery, ujęte w trzy linijki, układają się w dwa straszne słowa: DUCH OPOWIEŚCI. Niemal słyszę owe skrzypnięcia, pojękiwania, które pamiętam pewnie ze starych książek i filmów. Co to będzie, co to będzie?! Niesamowity nastrój zaczyna mi się udzielać, i to coraz intensywniej. Akcja nabiera tempa.

Centymetr niżej. W lewo. Moja wewnętrzna kamera kadruje fragment tekstu. „Duch się zjawia. Opowieść przychodzi. To nie to samo. Opowieści trzeba wyjść naprzeciw. To znaczy czytać rzecz godną czytania, jak tylko można wolno i uważnie”.

Zwalniam zatem. Wiem przecież, że Gondowicz, ten sensacyjnie inteligentny narrator, nie rzuca słów na wiatr. Zna się na duchach tekstowych, wie, jak skutecznie wywołać coś, czego nikt nie widzi, w co nikt nie wierzy, a co może nagle ujawnić swoją perswazyjną realność. „Dziewięć na dziesięć razy coś się pojawia”.

Nastrajam się, wzmagam czytelnictwą czujność. Podchodzę i słyszę coś, a dźwięk nachodzi mnie z tyłu, jak w kinie 3D.

„Puk, puk, to ja.

– Kim jesteś duchu?

– Jestem historią o...

Sprawdźcie sami”.

I sprawdzam, z miejsca, łączywie. Bo ta okładka, zaprojektowana jak trailer, nie kłamie. Bo rzadko się zdarza taki elektryzujący autor. Wskakuję w tę immersyjną opowieść i w końcu czytam o kuriozalnie długowłosej muzie, rusałce z reklamy, którą uwiecznił w swojej prozie sam Bruno Schulz.

VII

W czerwcu spotykamy się z kolegą Borowczykiem, żeby ustalić koncepcję wywiadu. Wychodzi na to, że zagadniemy naszego interlokutora o: obsesyjne powroty do Wielkiej Trójcy (Gombrowicz, Schulz, Witkacy), jego piekielnie pojemną pamięć, fetyszym, który tropi u swoich ulubionych pisarzy, skłonność do mistrzowskiego streszczania cudzych tekstów, technikę narracyjną, fascynację surrealizmem, dzieciństwo, które chyba jednak nie było takie zwyczajne...

VIII

26 czerwca, Warszawa. Próbuje dotrzeć na miejsce, czyli do restauracji położonej na tyłach Zamku Ujazdowskiego. Kiepsko nam idzie. ●